

Józef Kostro "Paweł"

Urodziłem się w 1927 r.

U nas to było tak, że któren nie był spalony, to kaźden siedział cicho. Jak trzeba było coś zrobić, to raz dwa w nocy zrobili, a w dzień pięknie ślicznie, nikt nic nie wie. A chodzić w oddziale nie miało wielkiego sensu, bo to wiadomo: czy przyjdzie zima, czy lato - noc krótka. Weź w dwudziestu ludzi i przejdź. A zimie zaraz ślady na śniegu.

Ale później jak zaczęli dokuczać, to nie miałem wyjścia. Najpierw aresztowali, potem majątek mi obrali, obszabrowali. W 1950 r., na jesieni, przyjechali w biały dzień i zabrali konie, krowy, świnie, kury, zboże, stołeczki, łóżka, wóz, wszystko co tylko można było. I to za to, że „Huzar” do nas zachodził. Ojca wtedy zbili, aresztowali. Dla „Huzara” kaźden jeden pomagał, z pomoco jemu wszyscy szli.

Nieraz jak „Huzar” przychodził, to namawiał mnie:

- No, jak chcesz, to chodź z nami, co sam będziesz się ukrywał.
- A mnie właśnie jakiś czas wcześniej chcieli aresztować, bo ja nie chciałem się z nimi spotkać. Raz i drugi raz zbili mnie, to musiałem uciekać. Ostatni raz to w Pułaziu jak mnie zbili, to i w pięty i po plecach. Grupa operacyjna chodziła po wsi i zatrzymali mnie. Trzymali mnie przy szosie. Ludzie wychodzili z kościoła w Pułaziu, to nawet słyszeli ten jęk jak mnie tłukli. Taki ryży Krasowski Janusz, skurwysyn, na oczy stawał, że „Huzar” u nas kwaterował, że ja jeździł od niego i załatwiał sprawy.

Ja jego się wypar:

- Nie znam ciebie cholera, ani nic. - No, jakoś trzy dni tłukli, tłukli, ale nic nie wytłukli. Pomyślałem sobie, że już więcej to ja już do was się nie dostane cholera. Aby tylko do wieczora, to zaraz się wymknę i więcej się nie spotkamy. No, ale popatrzyłem, że gdzieś w sąsiedniej wsi były aresztowania, to tam jeszcze kogoś aresztowali, to mogło do mnie jeszcze raz przyjść - pomyślałem sobie. No to w domu już nie spałem, tylko u sąsiadów. Obserwowałem okolice. Jak tylko gdzieś jada (UB), to ja zaraz pśes płot i choda. W końcu jak obrali gospodarke z wszystkiego, to już wyjścia nie było. I od wiosny 1951 r. byłem w oddziale - od początku w patrolu u „Huzara”. (U „Lamparta” nie byłem).

Po jakimś czasie „Huzar” powiedział:

- Pójdzies na tamten teren, do „Zygmunta” i od tej pory z „Zygmuntem” chodziłem. Jak w patrolu „Huzara” byłem, to było nas pięciu: ja, „Ryś”, „Zych” (?), „Żubryt” i „Huzar”.

Krasowski ps. „Kujan” uciekł z oddziału. „Huzar” przecuwał, że on trochę niewyraźny, ale już na oku jego miał. Akurat jeszcze ostatnio u mnie oni byli, potem poszli ode mnie na kolonie Pułazie i stamtąd skurczybyk dyla dał. Pochodził ze wsi Brzózki, koło Wysokiego Mazowiecka. W oddziale chodził może i z rok. Uciekł z oddziału jeszcze przed moim dołączeniem do oddziału. I to on stawał mnie na oczy w Pułaziu, jak mnie tłukli. Wydał im magazyn broni w lesie pod Markowem. Aż dwa samochody musieli przysłać, żeby zabrały tę broń, tylego było tam. Ta broń leżała tam od ujawnienia.

Po nadburzu [część pow. Bielsk Podlaski nad Bugiem] chodzili eneszeciaki - oddział „Głuszca”. Oni właśnie najsamprzód na-

więzali kontakt z p. dr. Olszewskim z Bogut. Udział w tym brał też taki Terlichowski. No i gdy nareszcie my - patrol "Zygmunta" - się spotkali z nimi, to "Głuszc" mówi, że nawiązał kontakt z Warszawą (przez tego Olszewskiego). No i że oni [Warszawa] koniecznie chcą nawiązać kontakt z "Huzarem". No to przyszedliśmy na teren mazowiecki [Wysokie Mazowieckie-J.K.], aż pod Łapy i spotkaliśmy się z "Huzarem". "Zygmunt" przekazał mu te informacje od "Głuszca" i "Huzar" powiedział, że dobrze... . Zaraz skontaktował się z "Głuszcem". Mnie już przy tym nie było, ale przypuszczam, że najsamprzód musiał z Olszewskim się skontaktować. Na pewno znał go z tych czasów, gdy chodził po tych terenach jeszcze przed 1947 r., a Olszewski należał wtedy do AK. Już wtedy ludzie mówili, że Olszewski przerzucił kilku ludzi za granicę z miejscowej siatki. Kto to jednak był dokładnie to nie wiem. Tylko ludzie tak mówili.

No i już po nawiązaniu tego kontaktu, gdy po raz kolejny spotkaliśmy się z "Głuszcem" na bielskim powiecie, ten mówi:

- Natychmiast skontaktujcie się z "Huzarem". Jest cholerna zdrada. - Okazało się, że za łącznikiem przysłanym przez Warszawę "Głuszc" wysłał swego człowieka. Wsiadł w ten sam pociąg, którym wracał do Warszawy tamten. Gdzie się ruszył, to za nim szedł człowiek "Głuszca". Wrócił i mówi do "Głuszca": - On spotykał się z ubowcami. - I gdy ten łącznik drugi raz przyjechał z Warszawy, to "Głuszc" wziął go w obroty (czy się przyznał, czy nie przyznał, to nie wiem, bo mnie przy tym nie było), a potem go "sprzątnął" [Był to ujawniony w kwietniu 1947 r. szef I Wydziału (Organizacyjnego) Komendy Okręgu NZW Białystok kpt. Włodzimierz Awramienko "Dunajewski"].

"Huzar", gdy o tym usłyszał, powiedział mu:

- Aj "Głuszek", ty dureń. Niepotrzebnieś to zrobił. - No, ale potrzebnie czy nie, to nie wiadomo. Skąd to wtedy można było wiedzieć. Kontakt z Warszawą został jednak nawiązany i zaczęli przyjeżdżać stamtąd do "Huzara" łącznicy. Najczęściej spotykali się z nim w Łapach. A to wszystko byli ubowce. No i wreszcie doszło do wyjazdu do Warszawy. Najsamprzód pojechał "Żubryd", później "Huzar" ze "Zbyszkciem", a my jeszcze zostaliśmy w terenie. Nareszcie łączniczka przyjechała z Warszawy, przywiozła ubranie cywilne. Przebraliśmy się i uzbrojeni w pistolety (miałem TT) ruszyliśmy w drogę: ja, "Marynarz" i "Pantera". "Zygmunt" został jeszcze, by schować broń, pozałatwiać różne inne sprawy. To nieprawda, że on nie chciał jechać. Został, by pochować broń, a jego przyjazd do Warszawy był już zdecydowany i koniec.

Specjalnie nie zastanawiałem się nad tym wyjazdem. Był rozkaz, to pojechałem. Oczywiście, można było odmówić, zostać się i dalej działać na swoją rękę, ale to mi nie odpowiadało. Co innego, gdyby "Huzar" zginął, a tak po prostu każdy się słuchał rozkazów.

Do pociągu wsiedliśmy w Kitach. Pieniądze na bilety mieliśmy swoje. Razem z nami jechała ta łączniczka. W Warszawie zaszedliśmy do kościoła św. Krzyża. Tam czekał na nas kolejny łącznik, którego znała opiekująca się nami dziewczyna. Zaprowadził nas na kwaterę. To było mieszkanie w bloku - jaka dzielnica to już dzisiaj nie pamiętam. Gotowała nam i robiła zakupy starsza kobieta. Czasami wychodziliśmy na miasto, m.in. do fotografa, zrobić zdjęcia do dokumentów. Żaden z nas nic nie podejrzewał.

Po kilku dniach dołączyli do nas "Zygmunt" i "Rokita", po których pojechała ta sama łączniczka. Gdzieś po tygodniu

[30.11.52] przyszedł do nas łącznik (ten z kościoła Św. Krzyża - często do nas zachodził) i mówi do mnie:

- Chodź, "Huzar" ciebie wzywa ["Huzar" został aresztowany 28.11.52]. - No jak wzywa, to trzeba iść.

Zimno już było, na ulicach leżał śnieg. Nałożyłem jesionkę, do bocznej kieszeni, z lewej strony wsadziłem pistolet i wyszliśmy na ulicę. Idziemy razem chodnikiem, ale w pewnym momencie czuję, że chyba jestem śledzony - za mną ktoś idzie. W tym momencie łącznik odsunął się na bok, z tyłu ktoś mnie chwycił (było ich kilku) za ręce próbując je wykręcić, a z przodu gość przystawił mi do czoła lufę pistoletu. Pochyliłem się do przodu, szarpnąłem i wyrwałem prawą rękę. Błyskawicznie zszedłem z przodu w szczękę, ukląknę na kolano i sięgnąłem do kieszeni jesionki po pistolet, a w tym czasie ci z tyłu, trzymając moją lewą rękę cały czas mnie napieprzają po głowie jak cholera. Gdy nachyliłem się marynarka i jesionka odchyliły się do przodu, tak że nie mogłem trafić do właściwej kieszeni. Gdyby pistolet był w marynarce, to byłoby co innego, ale tak zaplatałem się i nie było mowy, żeby wyciągnąć pistolet, tym bardziej że przecież wszystko działo się błyskawicznie. Naskoczyło na mnie chyba z pięciu, w końcu udało im się złapać moją prawą rękę, wykręcili mi je i rozłożyli na chodniku. Skuli kajdankami i wrzucili do samochodu [więźniarka] i tu jeszcze mi dołożyli. Głowa latała na wszystkie strony od ciosów, tak mnie okładali pięściami.

Zawieźli mnie na Mokotów, położyli na korytarzu i leżę zбитy jak nie wiem co. Twarz opuchnięta, na oczy ledwo widzę. Słyszę tylko jakieś krzyki.

Pomyślałem, że może to tylko ja jeden dał się wziąć - nikogo więcej nie mają. Tamci na pewno nie dadzą się wziąć żywcem

jak ja i zastrzelili się, tak jak było umówione. Do dzisiaj nie wiem jak to się stało, że „Rokta” i „marynarz” dali się wzięć. To była zdrada niech to cholera. Przecież każdy z nas nastawiony był, że nie da się wzięć żywcem. Gdybym ja miał wtedy taką możliwość, to bez zastanowienia strzeliłbym sobie w głowę.

Wrzucili mnie do celi i przez dobry tydzień nikt nie interesował się mną. Przychodziły tylko jakieś kobiety i robiły mi okłady. Zza drzwi celi kilkakrotnie słyszałem, jak ktoś dopytywał się:

- Gdzie ten siłacz, pokażcie go - po czym ktoś zaglądał [przez wizjer].

Śledztwo prowadzili przeważnie śledcze z Białegostoku, którzy przyjeżdżali do Warszawy. Początkowo do niczego nie przyznawałem się: nic nie wiem, nikogo nie znam - bo byłem pewien, że tylko ja wpadłem. No to oni do karca mnie, stójka. Najbardziej jednak męczące było, gdy kazali siedzieć na taborecie prosto, a ręce kilka milimetrów nad kolanami, nie mają prawa drżeć i dotknąć kolan. Weź tak wytrzymaj więcej niż kilka minut. Zaraz ręce zaczynają drżeć. A śledczy podchodzi leje zaraz w ucho, w głowę. Ze mną siedział taki ksiadz Adamczyk z Katowic. Jak wzięli go na stójki, to chyba z miesiąc czasu pod celą nie było. Jak przyszedł, to spodnie księżowskie popękane, buty porozsadzane, a buzia spuchnięta. Wyglądał jak potwór. Jak by mnie kto kiedy wcześniej powiedział, że człowiek tak może wyglądać od stójki, to nigdy bym nie uwierzył. W końcu okazało się, że śledczy wie to, i to i wreszcie mówi: - Słuchaj, jest „Huzar”, i „Zygmunt”, i „Zbyszek” i cała reszta. - Wszystkich wzięli w ten sam sposób jak mnie. No to już był koniec.

No jeden był taki śledczy - nie można powiedzieć, obchodził się elegancko. Przychodził i mówił:

- Musimy coś trochę napisać.

- To co my tutaj napiszem panie jak ja nic nie wiem.

- Musimy coś trochę napisać. Słuchaj, oni wszyscy już tutaj są w Warszawie zamknięci. Ja też byłem do Rosji wywieziony, ale z frontem tu przyszedłem. Żeby to inne czasy były, to może ja też poszedłbym do Andersa, ale innej możliwości nie miałem, tylko dostałem się do tej armii i z tą armią przyszedłem. No, musim coś napisać.

- No, co tu mogę pisać - myślę sobie. Pod włos mnie bierze. Ale to papierosem poczęstował, to tam. Co wiedziałem to powiedziałem. No, bardzo nie gnębił. Dał jeszcze raz papierosa.

- Weź se jeszcze jednego - powiedział i zabrał się i poszedł. Ja nazwiskow nie wymieniał, tylko tłumaczyłem się w ten sposób: gdzie dowódca był to i ja tam był. W nocyśmy zaszli, w nocyśmy wyszli, i nikogo nie znam. Takie było moje tłumaczenie.

W marcu przywieźli nas do więzienia w Białymstoku, i stąd na pokazówkę do Ciechanowca: mnie, "Panterę", "Marynarza" i "Zygmunta". "Huzar" i pozostali sądzeni byli w Łapach. Dostałem karę śmierci. W więzieniu kazali pisać prośbę o ułaskawienie. Byłem pewien, że to nic nie da, ale napisałem.

Ułaskawili mnie na dożywocie. Na wolność wyszedłem w 1957 r. Łączniczka „Huzara” Marysia Korzeniecka (nazwisko po mężu), mieszka na Ossech. No to sypnęła „Huzara”. Czy to o niej powiedział „Huzar” na sprawie, że teraz wszystko rozumie, bo u niego takiego futra nie miała.

Relacja spisana w 1995 r. przez Jerzego Kułaka.